



O góralach podbabiogórskich.

Wrażenia i spostrzeżenia ludoznawcze.

Przez

Bronisława Gustawicza.

I.

Wstęp. — Różnica między góralami podbabiogórskimi miejskimi a wiejskimi. — Charakterystyka wsi górskich. — Chaty dymne. — Kominy rzadkością. — Jazda z Myślenic do Jordanowa. — Gazda z Krzczonowa. — Droga przez Pcim do Krzczonowa. — Obejście gospodarskie mego gazdy. — Przyjęcie mojej osoby przez gaździnę. — Dym przeszkodą wejścia do chaty. — Uganianie się dymu po izbie. — Wewnętrzny wygląd chaty. — Niesmaczna, bo przywędzona wieczerza. — Takież śniadanie nazajutrz. — Chwalebna gościnność górska. — „Gość w dom, Bóg w dom“.

Poeci, wogóle miłośnicy górskiej przyrody i jej mieszkańców, opisywali i opisują w zanadto różowych barwach lud górski, przedstawiając przed oczy czytelnika tylko dodatnie jego strony. Niedość jest zrobić kilkudniową wycieczkę na „Babią górę“, lub w jej okolice pod przewodnictwem miejscowego górala, niedość nasłuchać się jego bajania, aby po powrocie do miasta opisywać „naszych poczcziwych górali“, wielbić przesadnie ich cnoty, a przemilczać wady, nie mając — prawdę powiedziawszy — dokładnego pojęcia ani o pierwszych, ani o drugich. Aby dokładnie poznać charakter ludu górskiego, jego zwyczaje i obyczaje, trzeba czas dłuższy wśród niego przebywać, ustawicznie z nim obcować i z nim żyć się.

Od kilkunastu lat, robiąc niemal corocznie wycieczki w okolicy podbabiogórskie jużto w celu odpoczynku wakacyjnego, już też w celu badań naukowych ¹⁾, zamieszkwałem przeważnie w chatach góralskich po kilka tygodni, wprawdzie po większej części w miasteczkach, ale także i po wsiach.

Górale podbabiogórscy, którzy w miasteczkach osiedli, różnią się od górali wiejskich tylko tem, że pozrzucali kierpce, a przywdziali buty, wszelako czynią to tylko bogatsi, wśród miasteczka mieszkający, a więc tak zwani mieszczanie; przedmieszczanie zaś pozostali po większej części przy kierpcach. Następnie u mieszczan miejsce guni i opiętych góralskich spodni zastąpiły długie kapoty, lub przerobione stare surduty, kamizelki i spodnie szerokie, niedonoszone po większych miastach, których dostarczają im liczni tandeciarze żydowscy, zjeżdżający z lichym towarem na jarmarki małomiejskie. Z przykrością zauważyłem w czasie swoich wycieczek w okolicy podbabiogórskie, że zwyczaj przebierania się w stare miejskie łachmany wkłada się wprawdzie powoli, ale statecznie i systematycznie, już i do większych wsi góralskich, szczególnie między młodzież wiejską. Ten nedorzeczny zwyczaj, miejscowy charakter ludu zacierający, wprowadzają przeważnie parobcy, powracający na wieś po ukończeniu trzyletniej służby wojskowej. Starzy opierają się temu, ale że stosunek dzieci do rodziców jest u górali bardzo smutny, o czem poniżej pomówię, przeto tego prądu stanowczo powstrzymać nie można. Zresztą charakter, zwyczaje, obyczaje górali mieszczan niczem się nie różnią od górali włościan, boć i miejscowości jak Ślemień, Sucha, Maków, Zawoja, Jordanów, gdyby nie objaśniały przydrożne napisy, trudno by odróżnić, czy to miasteczka, czy też wsi; są one bowiem podobne do jednych i drugich.

Wsi górskie są zwykle bardzo rozwlekłe, budowane w wąwozach, w ciasnych, wązkich dolinach, nad potokiem lub rzeką; chata od chaty znajduje się w pewnem, dość znacznem oddale-

¹⁾ Jerzego Wahlenberga Pomiarы barometryczne w Tatrach i przyległych działach górskich i dolinach w r. 1813 dokonanych. Poniowie obliczył prof. Bronisław Gustawicz. W sprawozdaniu Komisyi fizyograf. Akad. Um. w Krakowie. T. XXIX. 1894. 108—141. — Pomiarы barometryczne w paśmie babiogórskim i przyległych północnych działach górskich. Wykonał i obliczył Br. Gustawicz. W sprawozd. Kom. fizyogr. Akad. Um. w Krakowie. T. XXXI. 1896. 63—118.

niu, bo każdy gazda czyli gospodarz pragnie choć kawałek gruntu mieć w górskiej równinie, niedaleko swej chaty, a ponieważ dolina jest wązka, więc niepodobieństwem byłoby budować chaty w takim skupieniu, jak to widzimy na nizinach.

Chaty po wsiach, a nawet po mniejszych miasteczkach, przeważnie albo też wcale nie mają kominów; nawet wydarza się dość często w małych, biednych osadach, przysiołkach, odległych od wsi, widzieć chaty, w których ognisko znajduje się w rogu izby na podłodze, wylepionej dobrze gliną i wyłożonej płaskimi kamieniami. W takich chatach dym, unosząc się kłębami, wypełnia izbę i wychodzi na zewnątrz uchylonemi drzwiami, a latem i oknami. W miasteczkach i większych wsiach, przynajmniej u zamożniejszych gospodarzy, są już zwykłe ogniska murowane; wszelako kominy nie wychodzą ponad dach, lecz tylko na strych, skąd dym uchodzi otworami pod okapem. Wprawdzie tak w miasteczkach, jakoteż i porządniejszych wsiach, znajdują się tu i owdzie budynki z kominami, wyprowadzonymi ponad dach, ale to nie są mieszkania górali; są to szkoły, urzędy, mieszkania nauczycieli, urzędników, oficyalistów i osiadłych tu zdawna „l a c h ó w“, tudzież kupców, lub wreszcie zamożniejszych żydów.

Jadąc raz z Myślenic do Jordanowa, nająłem wózek góralski z Krzczonowa, wsi położonej 10 km. na południe od Myślenic, tuż za Pcimem. Ponieważ wyjazd z Myślenic nastąpił o godzinie 6. wieczorem, przeto mój góral przy ugodzie położył warunek nocowania w Krzczonowie, zapewniając, że w jego własnej chacie znajdę wygodny „n o c n i k“ (nocleg, wyrażenie góralskie), bo przecież nie mógłby na to pozwolić, abym miał nocować w żydowskiej karczmie. Chętnie zgodziłem się na tę propozycję, raz, że droga z Krzczonowa do Jordanowa na Łętównię nie była wcale ponętna, bo strasznie kamienista, a powtóre trzeba było kilkanaście razy przejeżdżać potok, lub też jechać korytem szeroko rozlanego potoku Łętówki, czego w nocy ciemnej wcale do przyjemności nie zaliczałem, a po trzecie rad byłem, że, nocując w chacie góralskiej, będę miał sposobność bliżej przypatrzeć się wewnętrznemu jej urządzeniu i zwyczajom jej mieszkańców.

O godzinie szóstej wyjechaliśmy z Myślenic gościńcem myślenicko-nowotarskim, tak, że o godzinie ósmej stanęliśmy w Pcimiu. Dotąd droga była wygodna, wózek toczył się gładko

i szybko po „cysarce“, ale mój góral nie mieszkał na „skraju“ wsi, przylegającym do gościńca, lecz na przeciwnym, graniczącym ze wsią Tokarnią, a że wsi górskie, jak już nadmieniałem, są rozległe, więc trzeba było jeszcze odbyć jak najprzykrzejszą półmilową podróż. Droga była wprawdzie równa, bo wieś rozłożona w dolinie górskiej, ale nadzwyczaj kamienista, poprzerzynana licznymi ramionami bystrego potoku Łętówki, tak, że co chwila wózek albo brnął po osi we wodzie, albo podskakiwał na kamieniach łak gwałtownie, że trzeba było oburącz trzymać się za półkoszki, aby z niego nie wypaść i nie użyć przymusowej kąpieli.

Po całogodzinnej, nader nużącej jeździe przybyliśmy nareszcie na dziedziniec mojego „powoźnika“. Zeskoczywszy z wózka, przyglądałem się ciekawie zabudowaniom gospodarskim i chacie. Po lewej stronie stały w jednym rzędzie, przytykając do siebie, stodoła, obora, chlewek i spichlerzyk; wszystko to było w dobrym stanie i w porządku utrzymane, co świadczyło wymownie o zamożności gazdy. Po prawej zaś była chata, o trzech niewielkich okienkach, tworząca względem tamtych zabudowań w oczy bijący kontrast; chata cała pomalowana i na zewnątrz, że tak powiem, zupełnie odymiona i owędzona, budziła we mnie jakiś mimowolny wstręt.

Tymczasem gazda, nie wyprzegając konia wbrew zwyczajowi góralskiemu, bo górale są nadzwyczaj dbali o swój dobytek, a szczególnie o konie, zdjął z wózka worek do połowy napełniony kukurudzą i zaniósł do chaty. Otóż śledziłem wzrokiem za nim i usłyszałem w sieni głos kobiety:

— Jakoś? kajś ták bawił, co ták nierano przyjezdzás?

— Ji! nie byłek já nikany — była odpowiedź gazdy. — Wioze pána do Jordanowa, tośma i nierano wyjechali z Myślenic...

Po tej rozmowie wyszła gaździna z chaty i przywitała mnie słowy:

— Witajcie pánocku!

Za nią wyszła już dorosła córka czyli „dziewka“, bo tak mianują w górach córkę gospodarza, i temi samemi słowy, co matka, mnie pozdrowiła. Za nią wyszło troje drobnych dzieci, które, stanąwszy w progu chaty, zdała mi się z ciekawością przyglądały. Tymczasem gazda wyprzegł konika, zaprowadził do stajni i dał mu obroku.

Jak wiadomo, górale są już z natury nadzwyczaj ciekawi i gadatliwi. Już przez całą drogę mój gazda wypytywał się mnie, skąd jestem, czem się trudnię, po co jadę do Jordanowa i t. p. Z przyjemnością też słuchał moich opowiadań i sam rozповідаł mi wiele. Teraz znowu zawiązałem z nim rozmowę o gospodarstwie wiejskiem, górskiem. Ze stajenki zaprowadził mnie do stodoły, pełnej snopów jęczmienia i owsa, w części już wymłóconego, dalej do spichlerzyka, pełnego jęczmienia i owsa, następnie do obory, w której były dwie krówki ładne i jałowiczka, a w końcu do chlewa, w którym przebywało kilka sztuk nierogacizny, przyczem wspomniał, że ma jeszcze kilkanaście owiec, które na teraz znajdują się „w koszarach“.

Wśród tego przedstawiania swojej własności nadmienił mój gazda, że i gruntu posiada znaczny kawał, a że wódki nie pija, w karczmie nie przesiaduje, jak inni, więc z łaski Najwyższego ma z czego żyć i dlatego nigdy nie „furm ani“, a jeżeli zgodził się odwieźć mnie do Jordanowa, to jedynie dlatego, że jedzie się przez jego wieś i że sam ma interes do załatwienia w Jordanowie.

Wtem nadeszła gaździna, szepnęła coś na ucho mężowi, a ten odezwał się do mnie:

— Pán z nami powiecerzają, a potym pójdziema spać, bo jutro ze świtem trza jechać do Jordanowa, a pán z drogi, to i potrzebuje odpocąć.

Zwróciłiśmy się tedy ku chacie. Kłęby dymu, wydobywające się teraz drzwiami i otwartymi oknami, przeraziły mnie zrazu; myślałem, że to pożar, ale po chwili zorientowawszy się, że chata nie ma komina na dachu, zrozumiałem przyczynę tego zjawiska. Przypomniało mi to ukraińskie „kurne chaty“, w których miałem szczęście nieraz przebywać podczas mego dłuższego pobytu na Ukrainie w r. 1887. Mimo to wzdrygałem się wejść do chaty, ale przypomniawszy sobie przysłowie: „W Rzymie być, a papieża nie widzieć“, śmiało przekroczyłem próg i zakrzusiłem się od dymu, ale gazda. widząc moje zakłopotanie, wziął mię za rękę i zaprowadził w kąć izby, który po części był wolny od gryzącego dymu.

Drzwi i dwa okna wychodziły na wschód, a jedno okno na południe. W południowo-zachodnim rogu izby znajdowało się ognisko równo z podłogą, na którym tliło się kilka kawałków grubych korzeni drzew. Wiatr powiewał od wschodu, a po-

nieważ drzwi i okna stały otworem, więc prąd powietrza gnał kłęby dymu ku przeciwległej ścianie, które, nie mając tu ujścia, wracały jużto ku oknu południowemu, którym wychodziły na zewnątrz, już też ku drzwiom i oknom wschodnim, zapełniając róg północno-zachodni izby. Wskutek tego północno-wschodni kąt izby był najmniej dymem zajęty. Właśnie do tego kąta zaprowadził mnie gazda. Z tego miejsca mogłem już swobodniej rzucić okiem po izbie, która wywarła na mnie bardzo przykre wrażenie. Ściany od dymu zakopcone i pokryte grubą warstwą sadzy; na ścianach pozawieszane obrazy świętych, jedne oszklone, a drugie bez szkła, ale wogóle tak okopcone i od much popstrzone, że trudno było rozpoznać, co przedstawiały.

Umeblowanie izby składało się ze stołu okrągłego, ławki stojącej pod ścianą i kilku pniaków, zastępujących stołki. Dalej pod ścianą północną izby widziałeś szeroki i długi tapczan, na którym chrapało kilkoro dzieci różnego wieku i płci, poprzykrywanych kożuchami i guniami. Słowem, całość przedstawiała prawdziwy obraz nędzy! A przecież to było w chacie zamożniejszego gazdy. Cóż to więc dźiać się musi w chacie biedaka, wynoszącego nawóz we workach lub koszach na barkach swoich na stoki gór?

Ale wróćmy do wieczerzy, do której mnie zaprosiła gazdzina. Wieczera składała się z zacierki z kukurudzianej mąki na mleku i kawałka chleba. Do niej zasiedli gazda z gazdziną, dorosła ich córka i czternastoletni syn. Wszyscy jedli wspólnie z jednej misy łyżkami drewnianymi. Dla mnie jako dystyngowanego — jak się wyrażają — gościu, dano zacierkę na osobnej miseczce i wydobyto ze skrzynki łyżkę blaszaną. Jakkolwiek zacierkę na mleku bardzo lubię, to przecież nie miałem najmniejszej chęci do jedzenia, a nie chcąc, by mię posądzano, że wzgardzam ich gościnnością, postanowiłem zjeść choć kilka łyżek zacierki, — ale nadaremne były moje wysilenia; mleko bowiem było tak dymem przywędzone, że, wzięwszy zaledwie jedną łyżkę do ust, musiałem dla obrzydliwego zapachu złożyć broń i wymówić się tem, że mleka warzonego nie jadam nigdy, bo mi szkodzi. Uwierzono tedy mojej wymówce i zaproponowano mi mleko surowe z wieczornego udoju, co — rozumie się samo przez się — przyjąłem chętnie, a posiliwszy się, udałem się z gazdą do stodoły na spoczynek.

Następnego dnia ze świtem zasiedliśmy wszyscy do śniadania, składającego się z ziemniaków i kwaśnicy, bo zacierkę kukurudzianą na mleku jako nielada specyał podała gaździna dnia poprzedniego na wieczerzę tylko *in gratiam* powrotu gazdy z jarmarku myślenickiego, oraz dla uczczenia mnie jako gościana. Śniadania atoli tego nie jadłem, jeno poprosiłem o świeże mleko, które mi ochotnie podała gaździna wraz z świeżo upieczonym sporym plackiem z żytniej mąki ze serem. Wypiwszy prawie litr mleka, zjadłem kawałek tego placka, a resztę schowałem do tłomoczka, usprawiedliwiając się tem, że wczas rano nie mogę jeść wiele, i dodałem, że placek jest bardzo dobry i spożyję go później z przyjemnością. To moje oświadczenie uradowało widocznie gaździnę, gdyż gazda zaczął zaraz wychwalać zdolności swej żony w pieczywie i kuchni.

Zeby pánoczek tu dłuży pogościli, a moja zrobiła zuru, toby sie odejść nie mogli;

Żegnając się z gaździną, zapytałem, ileby się jej należało za mleko, placek i nocleg.

— Jakoś pánocku? — U nás sie za gościne nic nie bierze — była odpowiedź gaździny z niejakim zadziwieniem, a nawet z pewnem oburzeniem. Toż samo powtórzył gazda. Podziękowawszy tedy za gościnę staropolskiem: „Bóg zapłać!“, udałem się w dalszą podróż.

Dodać winienem, że w wielu miejscowościach tutejszej okolicy spotkała mnie ta szczerza gościnność; śmiało mogę też stwierdzić, że u górali podbabiogórskich staropolskie przysłowie: „Gość w dom, Bóg w dom“ jeszcze nie zupełnie wygasło. Jest zatem cnota, która obok wielu przywar wielce ich podnosi.

II.

Powierzchność górali podbabiogórskich. — Wyzszość górali nowotarskich. — Lenistwo i ociężałość górali podbabiogórskich. — Praca ich niewydatna. — U równiaków większa wydatność pracy. — Zła karmia przyczyną braku sił fizycznych. — Ubiór męski i kobiecy. — Brak urody. — Inaczej u Podhalań. — Brud i nieczystość powszechną wadą. — Umeblowanie. — Obrazy świętych ozdobą izb. — Pożywienie. — Skutki lichej strawy. — Rafinerya nafty braci Codrigan w Grybowie. — Bieda przyczyną złego żywienia się u górali.

Górale podbabiogórscy są powierzchowności wcale nie ujmującej. Rysy ich twarzy niewiele mówią; są przeważnie gapio-wate. Wzrost z bardzo małymi wyjątkami jest średni albo też

nizki, co przy pochylonej zawsze ku ziemi głowie nadaje im postać karłowatą. Przypominają mi negrów południowych prowincyi Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Rozumie się samo przez się, że zachodzi tu różnica rasy, ale tensam gapiowaty wyraz twarzy, tosamo pochyłe trzymanie się, tasama ociężałość i tasama nieradność występuje charakterystycznie u jednych i drugich. O wiele wyżej stoją od nich górale nowotarscy, czyli tak zwani Podhalanie. Tu znajdziemy wielu dorodnych obojga płci, trzymających się prosto i rączych w ruchach, wyższych wzrostem, a nawet lepszymi zdolnościami uposażonych. Słowem — między góralami podbabiogórskimi przyjemna powierzchowność, regularne, szlachetne rysy twarzy, tworzą bardzo rzadkie wyjątki. Ale za to są krępi i barczyści, wskutek czego wydają się silnymi. Jest to atoli złudzenie. Przy budowie kolei żelaznej, tak zwanej transwersalnej, przed kilkunastu laty, nie mogli oni sprostać Włochom, sprowadzonym z Tyrolu, ani też Chorwatom. Przedsiębiorcy i dozorczy budowy, a nawet technicy utyskiwali ustawicznie na lenistwo, ociężałość i brak sił u górali, którzy pracowali przy tej kolei.

Ponieważ przedsiębiorcy byli to wyłącznie cudzoziemcy, a technicy i dozorczy po większej części także cudzoziemcy, przeważnie Niemcy, lub zniemczeni Czesi, brałem tedy te ich użalania się i skargi na naszych górali na karb nienawiści ku nam, że wszystko, co polskie, to do niczego, ale wkońcu sam przekonałem się naocznie, że — niestety — mieli oni zupełną słuszność. W miejscowościach, gdzie płacono robotnikom „ziemnym“ od metra sześciennego, górale zarabiali od 60 do 80 centów dziennie, zaś Włosi i Chorwaci od 1 złr. 20 ct. do 1 złr. 60 ct. Gdzie zaś płacono robotnikom dziennie bez względu na ilość wykonanej roboty, zawsze chętniej płacono Włochom i Chorwatom po 1 złr. 20 ct. dziennie, niż góralom po 80 ct., bo jeden Włoch lub Chorwat robił zawsze prawie za dwóch górali.

Gdy na wiosnę w r. 1884 pierwszy pociąg roboczy przybył z Żywca do Makowa, naładowany szynami, użyto 18 górali do wyładowania szyn. Do wykonania tej roboty potrzebowali górale około 4 godzin czasu przy ustawicznym stękanii i narzekaniu na ciężką pracę. Tego samego dnia otrzymał ówczesny naczelnik budowy kolei żelaznej w Suchy, p. K., od głównego zarządu w Żywcu zawiadomienie, że pociągi w Makowie nie mogą być tak długo zatrzymywane; z tego powodu następnego

dnia wysłał on ze Suchy dziesięciu Chorwatów, którzy tę samą pracę bez szemrania wykonali w przeciągu dwóch godzin.

Na innej znowu stacyi teje kolei zarządzono przeniesienie progów kolejowych na miejsce wygodniejsze i płacono po cencie za jeden próg. Dwóch górali podjęło się tej roboty. Dźwigali oni obydwaj każdy próg i przenieśli ich od rana do południa 50 sztuk; po południu atoli nie przyszli już do roboty, bo czuli się pokrzywdzonymi, że przy tak ciężkiej robocie nie będą mogli więcej zarobić jak po 50 centów dziennie. Otóż dnia następnego, podjął się tej samej roboty wyrobnik z pod Skawiny i sam jeden przeniósł od rana do wieczora 100 progów; zarabiał więc dziennie 1 złr. Widziałem tego robotnika i rozmawiałem z nim; nie był on atletem, przeciwnie wzrostu średniego, mięśni nie bardzo zwięzłych, ale cery twarzy zdrowej i krwistej.

Nadmienić winienem, że na chęci i zamiłowaniu do pracy góralowi naszemu nie zbywa, tylko, że ta robota jakoś idzie mu niesporo; powiedziałbym, że nie lenistwo jest tego przyczyną, tylko brak sił fizycznych. Ta bezsilność więc i ociężałość górali pochodzi niezaprzeczenie ze złej karmi, o czem pomówię obszerniej na innem miejscu; tu dodam tylko, że jeżeli corocznie setki górali podbabiogórskich udają się z kosami na zarobek za granicę, do Królestwa Polskiego i tam są z ich pracy zadowoleni, to pochodzi stąd, że są tam nieporównanie lepiej karmieni, niż u siebie w domu.

Ubiór górali podbabiogórskich składa się z obcisłych spodni z białego sukna, z krótkiego kożuszka bez rękawów, guni czyli burki z czarnego sukna, z kierpców albo chodaków, oraz z niskiego o wielkim rondzie kapelusza i jest wogóle bardzo zaniedbany, brudny, zafolowany do najwyższego stopnia. Jedynie w niedziele i święta ubiera się młodzież nieco czystiej i staranniej, a starzy mniej o to dbają. Kobiety w krótkich spodniach przynajmniej w dni świąteczne wdziewają buty i okrywają się białymi płachtami, złożonemi w trójkąt. Głowy zawiązują różnobarwnemi chustkami. Bogatsze kobiety zamiast białych płacht noszą wielkie, różnobarwne chusty, a na głowach z białego, cienkiego, dobrze ukrochmalonego perkalu „stroiki“, w tyle dość szczelnie do głowy przystające, a na przodzie wznoszące się w dość wysoki, fantazyjny czub. Tego rodzaju stroje można widzieć i w nizinach, n. p. w Tarnowskiem, tak u włościanek, jak u mieszczanek.

Dziewki ubierają się w krótkie, jaskrawe, różnobarwne spodnice, a biedniejsze zarzucają na siebie białe płachty w miejsce chustek; zamożniejsze zaś noszą krótkie, gustowne kaftaniki kożuszkowe, podobne do kamizelek, przyozdobione różnobarwnymi wyszywaniem, oprócz tego różnobarwne, jaskrawe, często dosyć kosztowne chustki. Włosy zaczesują gładko i splatają w dwa warkoczki, w tył spadające, przyozdobione na końcach w jaskrawe wstążki.

Nietylko piękności, ale nawet miernej urody napróżnoby tu kto szukał, a jeżeli się znajdują bardzo rzadkie wyjątki, to już chyba nie góralskiego pochodzenia. Inaczej ma się rzecz u Podhalańców nowotarskich; tu widzieć można wiele dorodnej młodzieży obojga płci. Nadto górale ci wybierają się w dalszą podróż, jak n. p. do Krakowa, ubierają się czystiej i schludniej, co ich o wiele wyżej stawia ponad górali podbabiogórskich, którzy jeżeli posiadają odzież czystsza, to jej w drogę nigdy nie biorą, chyba gdy się udają na odpust.

Jeżeli n. p. w Krakowie lub w sąsiednim Podgórzu spotrzesz górala o przyjemnej powierzchowności, schludniej ubranego, możesz śmiało twierdzić, że to mieszkaniec od Czarnego Dunajca, Zakopanego lub Nowegotargu, a jeżeli spotkasz górala przygarbionego, w brudnej — co się zowie — odzieży, o nie miłym, gapiowatym wyrazie twarzy, bądź pewien, że to mieszkaniec podbabiogórski, lub z okolic Mszany Dolnej albo też Limanowej.

Z brudną powierzchownością górali podbabiogórskich idzie w parze ich mieszkanie. Już nie mówię tu o ludzkich wędzarniach, jakie opisałem w poprzednim rozdziale, bo tam czystość byłaby czemś niepodobnym, ale wspomnę o takich izbach, gdzie otwory kominów wychodzą na strych, gdzie zatem byłoby możliwe ochędóstwo. Gdzie tam! znajdziesz tutaj zawsze i wszędzie obrzydliwe plugastwo. Nawet bogatsi górale nie grzeszą czystością, a wyjątek pod tym względem tworzą po miasteczkach chyba ci, co z kupczenia dorobili się jakiego takiego majątku, a tacy górale zapierają się zwyczajnie swego góralskiego pochodzenia. Ich córki stroją się już w modne kapelusze, w suknie ze stanikami i nie obejdą się bez rękawiczek i pięknych parasolek; synowie zaś, bawiąc w większych miastach na studyach, albo je z pożytkiem kończą, albo co najczęściej się dzieje, w połowie drogi przerywają je, tworząc nibyto inteligencyę małomie-

szczańską, góralską, która licznymi zabiegami ubiega się o posady burmistrzów, wójtów i pisarzy gminnych, a niejednokrotnie staje się plagą nie tylko swego najbliższego otoczenia, lecz także społeczeństwa, bo w nich prócz niezgrabnego małpowania niby to wyższego lepszego tonu, egoizmu i próżności niczego więcej się nie dopatrzysz. Takim, co dla rozmaitych przyczyn nie mogą szkół pokonać, radzilibyśmy miasto porzucić i powrócić pod ojcowską strzechę i ziemię, jaką ona tam jest, uprawiać.

Brak czystości występuje nader rażąco tak w przygotowywaniu potraw, jak i w ich spożywaniu. Noże i widelce znajdziesz u zamożniejszych, a to — jak powiadają — tylko od parady. Widelców nigdy prawie nie używają. Niejednokrotnie przyglądałem się się w chatach bogatych gazdów, jak w niedzielę lub święto uroczyste — bo tylko w te dni spożywają mięso — przy obiedzie krajali mięso nożem, gdyż tego palcami niepodobna dokonać, ale zawsze podczas tej czynności przytrzymywali je brudną garścią i w ten sposób obdzielali członków swej rodziny i sługi swe, a ci, nie używając ani noża, ani widelca, rękami do obrzydliwości brudnymi brali mięso i je spożywali.

O umeblowaniu chat góralskich niema nic osobliwszego do powiedzenia. Jest ono stosownie do zamożności gazdy lepsze lub gorsze, większą lub mniejszą wygodę przedstawiające. U uboższego gazdy zobaczysz prosty tapczan, stół i pniaki zamiast stołków, u zasobniejszego zaś łóżka, stoły, ławy i stołki. Sprzęty te wyrabiają w niektórych wsiach sami górale.

Jak w umeblowaniu izby góral tutejszy jest bardzo skromny, tak w ozdobieniu jej ścian obrazami świętych jest aż przesadny. W izbie każdej chaty zobaczysz tutaj podostatkiem obrazów świętych; są nimi szczególnie u zamożniejszych gospodarzy całe ściany wokoło izby pozawieszane. Obrazy te jednak, jak wiadomo, są to najędźniejsze litografie i chromolitografie, jakimi nas zagranica zarzuca, albo też są to malowidła olejne, wykonywane przez domorośłych, wsiowych artystów. Od niejakiemu czasu do domów bogatszych zaczynają się wciskać olejdruki, które, gdyby były staranniej wykonywane, mogłyby choć w części wpłynąć na wyrobienie lepszego smaku u ich posiadaczy. Mimo to, chociaż są te olejdruki, które się na wieś dostają, nędzne, jednakże celują pomiędzy nędźniejszymi jeszcze litografiami i olejnymi bazgraninami domorośłych bogomazów.

Z kolei przypatrzmy się bliżej pożywieniu górali podbabiogórskich. Głównem, prawie zasadniczem ich pożywieniem są ziemniaki. Zobaczysz je rano na śniadanie, w południe na obiad, a wieczór na wieczerzę. Do ziemniaków przyłącza się barszcz, żur i kwaśnica. Barszcz podają tylko tam, gdzie mają buraki, a więc tam, gdzie znajduje się ziemia pod buraki sposobna. Za to wszędzie u każdego gazdy musi być żur i kwaśnica. Te dwie strawy są zawsze na porządku dziennym. Biedny i bogaty nie mogą się obejść bez nich. Żur góralski jest to zakiś z mąki owsianej. Jest on znany na Mazurach i Kujawach, lecz tam przyrządzają go kwaśniejszym i rzadszym tak, że go piją ze szklanki lub filiżanki; żur zaś góralski jest mało kwaśny, słodkawy i tak gęsty, że go łyżką pożywają. Kwaśnica zaś jest to sok z kapusty kiszonej. Górale po nasoleniu kapusty nalewają na nią wody; gdy kapusta zakiśnie, wybierają kwaśnicę i znowu dolewają świeżej wody. Czynność tę powtarzają tak długo, dopóki nie wyczerpie się kapusta z beczki. Wskutek tego kapusta jest bez jakiegokolwiek smaku, ale góral jest do tego przyzwyczajony, taka kapusta smakuje mu, a zresztą idzie tu więcej o kwaśnicę, aby jej było dosyć, niż o kapustę. Bo z czemże tu jeść ziemniaki? z żurem? — nie wystarczyłoby na to owsa, który wreszcie i na placki jest potrzebny. — Z barszczem? — ale nie wszędzie są buraki; ba, przytem barszcz jest już strawą zbytkowniejszą, bo go zaprawiają jajkiem albo mlekiem; żur zaś lub kwaśnica nie potrzebują żadnych przypraw; ziemniaki wymagają tylko soli, żur i kwaśnica nawet i tego nie potrzebują. A jeżeli gaździna użyje półcwierci funta słoniny lub sadła na 8 lub 10 osób, to już tylko w dni uroczyste wydarzyć się może.

Górale, którym kapusta w polu się nie udała, jeżdżą po nią po kilka mil daleko, aby tylko mieć kwaśnicę. Ziemniaki zaś tedy, żur i kwaśnica są głównem pożywieniem każdego górala.

Obok tego placki z mąki owsianej, zawsze z przymieszką ziemniaków, tworzą szczególniejszy specyał. Placki te jednak nie są chlebem powszednim; gaździny pieką je tylko wtedy, gdy gazda udaje się w drogę na cały dzień, czy to do lasu, czy też na robotę do dworu, tudzież na dni uroczyste.

Nieurodzaj na ziemniaki jest plagą, kłeską, przyczyną głodu; wtedy owies musi je zastąpić, ale ten dla małych zasobów szybko się wyczerpuje. Ważną jednak rolę w pożywieniu górali

odgrywa jęczmień. Z niego robią pęcak, który, jak utrzymują, daje się wybornie jeść bez omasty, bo w gotowaniu rozkleja się. Ale jęczmień w górach nie wszędzie się udaje, a gdzie go mają, pewną część z niego muszą sprzedać, aby pokryć inne wydatki. Pęcak tedy należy do potraw zbytkownych i jadają go rzadko, podobnie jak kapustę, która służy więcej do produkcji kwaśnicy. W chatach bogatszych, u gazdów, mających większe obszary pola ornego, do tego urodzajnego, pojawia się ta zbytkowna strawa 3 lub 4 razy tygodniowo na stole, czasem nawet ze słoniną lub sadłem.

Tosamo można powiedzieć o fasoli i karłowatym bobie, jaki się w górach gdzieniegdzie na lepszej glebie udaje.

Zamiast placków owsianych bogatsi wypiekają je ze „z b o ż a“, tj. z mieszaniny żyta, jęczmienia i owsa, razem zmielonego. Podczas większych uroczystości, jak na weselu, chrzcinach i t. d., pieką placki z czysto żytniej mąki, które powlekają serem, jeżeli gazda ma krowy. Placki z mąki pszennej można widzieć tylko u górali bardzo dobrze się mających.

Otóż, jak widzimy, pożywienie górali babiogórskich jest wogóle liche. Z tej lichej karmi pochodzi bezsilność i ociężałość górali w pracy; praca ich, jak powyżej wspomniałem, nie jest wydatna. Że tak jest, przytoczę fakt, wprawdzie nie wzięty z życia Babiogórców, jeno z okolicy Grybowa.

Przed kilkunastu laty Amerykanie, bracia Codrigan, założyli pod Grybowem rafinerię nafty na wielką skalę. Kilku robotników przywieźli z sobą z Ameryki. A że zakład wielki mimo machin parowych i licznych urządzeń mechanicznych, zastępujących pracę ręczną, potrzebował więcej ludzi, aniżeli ze sobą sprowadzili, najęto przeto górali grybowskich. Będąc w r. 1881 w Grybowie, zaznajomiłem się z właścicielami tej rafinerii przy sposobności zwiedzenia pięknego tego zakładu przemysłowego. Najstarszy z braci C. oprowadzał mnie wszędzie po fabryce, objaśniając wszelkie urządzenia. Wśród pogadanki, jaka między nami się zawiązała, utyskiwał Amerykanin na miejscowe siły robocze. Wyznał on mi wtedy, że swoim Amerykaninom, prostym robotnikom, płaci dziennie po 3 złr., góralowi zaś tylko po 90 ct.; ale i tej płacy stosunkowo do wydatności swej pracy nie są warci. Podług jego obliczenia wartość pracy górala w stosunku do pracy Amerykanina nie warta więcej jak 75 ct. dziennie. Na to zwróciłem jego uwagę, że Amerykanin może za 3 złr. lepiej się utrzy-

mać i lepiej żyć, niż góral za 90 ct., z których pragnąłby jeszcze zaoszczędzić coś dla domu. Nic więc dziwnego, że robotnicy amerykańscy mają więcej siły do pracy niż miejscowi górale. Wtedy zauważył Amerykanin Codrigan, że gdyby im więcej płacił, to oni zamiast lepiej się pożywić, więcejby przepijali. Po krótkim wszakże namyśle dodał: „Pańska uwaga spodobała mi się. Otóż spróbuję sam ich żywić“.

Znane jest przysłowie angielskie „to go a head“, tj. każdy pomysł wprowadzić natychmiast w czyn. Więc też już na drugi dzień miejscowi robotnicy byli na jego stole; od tej pory dzienna ich płaca wynosiła 60 ct. Dawał im tedy $\frac{3}{4}$ kg. chleba żytniego, $\frac{1}{2}$ kg. mięsa, rosół zasypany fasolą lub perłówką i 1 kg. ziemniaków dziennie na osobę. Z początku uważali się górale, że im mało daje jeść, że mięso jest zbyt cenne, że za te pieniądze, co mięso kosztuje, lepiejby było kupić ziemniaków, którychby więcej mieli na obiad. I nic dziwnego, że się uskarżali. Ich żołądki bowiem, ziemniakami rozepchane, nie mogły się zrazu oswoić z pokarmem, mniejszym wprawdzie co do objętości, ale za to pożywniejszym; skarżyli się tedy, że ich „c k n i“, że im „burcy po brzuchu“, bo w nim były pustki. Jednakże po tygodniu prawie żaden z nich nie mógł zjeść kilograma ziemniaków, a Amerykanin Codrigan utrzymywał stanowczo, że robotnicy miejscowi stają się ruchliwsi i że robota sporzej idzie.

Wkrótce Grybów opuściłem, a gdy w cztery lata później tedy przejeżdżałem, powziąłem zamiar odwiedzenia braci Codrigan, raz, aby odświeżyć dawną znajomość, powtóre, aby się dowiedzieć o skutku powyższej próby z góralami. Ale ku memu wielkiemu smutkowi dowiedziałem się, że ci Amerykanie dla braku dostatecznej ilości surowicy, dostarczanej do ich rafinerji, zmuszeni byli ją zwinąć. Opowiadano mi atoli, że próba owa niezupełnie się udała, gdyż robotnicy miejscowi byli przeważnie rusinami, więc częste i długie posty, jak petrowski, spasowski, nie dozwalały im jadać mięsa. Więc wydajność ich pracy jak była małą, tak i taką została.

I w nizinach u ludu ziemniaki odgrywają ważną rolę, ale tu obok nich włościanin spożywa wiele potraw mącznych i strączkowych. Ma on kaszę tatarską, jaglaną, groch, fasolę, bób, chleb żytni, pszeniczną mąkę na kluski i t. d. Wszystko to u górala jest owocem zakazanym, bo się w górach nie rodzi. A je-

żeli w porządniejszych sklepach po miasteczkach tego wszystkiego dostać można, to biedny góral nie ma za co kupić; bogatszy zaś, zanim grosza się dorobił, przyzwyczaił się do swoich domowych potraw tak, iż o innych wcale nie myśli.

Mało jest takich górali, którzy, ukarmiwszy sobie wieprzaka, użyliby go na własną potrzebę. Ukarmiony wieprzak musi być wyprowadzony na jarmark, bo potrzeba opłacić podatki, kupić soli, wreszcie potrzebna jest jaka taka odzież dla właściciela, jego żony i dzieci, a przecież i usłużnemu arendarzowi należy się jakaś danina. Zupełnie to samo dzieje się z nabiałem; masło i ser idą na targ, a już tylko z maślanki napół z wodą mają bał w domu. Owiec mają tu mało, brak bowiem dla nich dobrej paszy. A jeżeli jaki zamożny gazda ma ich kilka, to bryndza popłaca; więc lepiej ją sprzedać, niż samemu zjadać, bo grosz zawsze się na coś przyda.

III.

Przemysł u górali.— Łatwowierność, ciemnota i nieporadność, wyzyskiwane przez spekulantów. — Stołki wyrobu góralskiego w Niemczech i Anglii. — Radomyślanie, handel nierogacizną. — Ci kształcą dzieci na przemysłowców, górale zaś na urzędników i księży. — Pośrednicy rzetelni i oszuści. — Kilka przykładów wyzyskiwania górali przez pośredników. — Kupcy pośrednicy doradcami pokątnymi. — Majstrowie od košby. — Starostowie od košby na Huculczyźnie. — Inne gałęzie przemysłu u górali. — Górale handlujący materiałem budulcowym. — „Porcye“ w karczmach popasowych, a w domu ńedza.

Powszechnie utrzymują, że górale są rzutni do przemysłu. Wynika to z natury rzeczy. Nieurodzajna ziemia zmusza ich do szukania sobie zajęć, któreby obok uprawy roli dały im możność wyżywienia się. Powstały tedy całe osady bednarzy, stołkarzy, gonciarzy i t. d. Czy jednak potrafią odpowiednio wyzyskać przemysł, któremu się poświęcają? Na to odpowiedź bardzo prosta: oprócz kilkudziesięciu spekulantów, którzy odnoszą rzeczywiste korzyści z góralskiego przemysłu, reszta są to biali murzyni. Między tymi spekulantami znajdują się też bezczelni wyzyskiwacze łatwowierności swej braci, tem właśnie niebezpieczniejsi, że są jednego pochodzenia, jednej wiary. Ciemnota i nieporadność góralska nastęrczają tym spekulantom obszerne pole do działania. Przypatrzmy się bliżej tym smutnym stosunkom.

Oto n. p. wieś, składająca się z 100 do 150 chat. W każdej chacie wyrabiają konewki, cebrzyki i inne przedmioty bednarskie. W czasie wolnym od zajęcia rolnego mąż, żona i dzieci obojga płci pracują w pocie czoła. Ale wkońcu gdzież tu zbyć swój produkt? Cała okolica jest weń zaopatrzona; trzeba więc szukać zbytu w dalszych stronach. I tu właśnie okazuje się jak na dłoni nieradność większej części górali. W tej samej wsi, najczęściej jednak w innej znajduje się spekulant, który ich wyroby zakupuje po cenie, jaką sam zazwyczaj naczyna i wiezie je w odleglejsze strony na jarmarki i targi tygodniowe, zarabiając na tem przyzwocie. Taki spekulant, taki handlarz i lepiej żyje i pieniądze gromadzi wtenczas, kiedy jego bliźni biedak z całą rodziną pracuje na niego w pocie czoła.

Raz jeden z górali bednarzy wskazał mi podobnego spekulanta:

— Patrzajcie pónocku, jaki to na nim kozuch bogaty, a jego baba ják się odziéwa, a jákie má korále; a zebyšta u niego doma widzieli, jakie tám obrázy, a jak uni se tám dobrze jedzą. A i papirków (pieniędzy) tám co nie miára, a wsyćko ta za náse práce. Cłeká nie stáć na półkwátýrek wódkí, a uni se wíno pijom. —

— A któż wam winien, moi ludzie, dlaczegoż sami nie sprzedajecie swoich wyrobów? — odrzekłem.

— Jakoś pánocku? My biédni, co jednego tydníá zarobimy, to na drugi musimy sprzedać, boby nie było za co máteryálu kupić, ani soli do ziemiaków. A dzieby já sie włók we świat z kilkoma konewkami?

— To prawda gospodarzu! Ale macie wy konia i wóz?

— A juści, mám, z łáski Pána Jezusa.

— Otóż widzicie, musi tu być takich więcej, co mają konie i wozy. Więc jednego tygodnia moglibyście wy i parą pojechać gdzieś dalej na jarmark, zabrać swoje wyroby i drugich waszych gospodarzy, — tam je sprzedać i tym sposobem nie dzielić się waszą pracą z handlarzami. Na drugi tydzień pojechałby kto inny i znów wasze wyroby zabrał. I tak co tydzień mogłoby trzech lub czterech z pomiędzy was jechać, a więc na każdego przyszlaby kolej raz na trzy lub cztery miesiące.

Góral tłumaczył, że to niemożliwe, że on i wielu innych nigdzie w świecie nie bywali; nie wiedzieliby więc, gdzie się udać, a ci handlarze to już wiedzą wszystkie miejsca, gdzie

i kiedy jarmark lub targ. Oni jeżdżą aż do Krakowa i tam, gdzie to się sól rodzi. Jak nie sprzedadzą towaru, to mają tam magazyny, więc towar zostawiają do przyszłego jarmarku, a na wóz ładują sól i tu przywożą. A potem kupiec kupi; co zapłaci, to zapłaci, ale zawsze zapłaci, a swój to wzięły za konewkę 25 centów, a powiedziałyby, że tylko 20.

Rozmowa ta toczyła się w obecności kilku innych bednarzy, a każdy z nich potwierdzał zdanie rozmawiającego ze mną, utyskując zawsze na handlarzy.

Na każdym tedy kroku nieporadność i niewiara, co dowodzi, że wyzyskiwanie ich przemysłu musi pozostać nadal w rękach kilku obrotniejszych spekulantów.

Zupełnie tak samo ma się rzecz z innymi wyrobami góralskimi. Żadnego produktu swego nie sprzedają bezpośrednio.

Niektórzy handlarze są rzeczywiście bardzo śmiali w swoich przedsięwzięciach, mimo to jednak niedołęzni, nieporadni. I tak n. p. niektóre osady podbabiogórskie wyrabiają dosyć zgrabne stołki z poręczami, które politurowane służą do umeblowania mieszkań ludzi mniej zamożnych średniej klasy. Niepoliturowane zaś stołki — te znajdziesz niemal w każdej szynkowni, kawiarni, restauracyi miast i miasteczek podgórskich. Również mają one dość znaczny zbył w Krakowie i Podgórzu.

Z tymi to stołkami pewien góral podbabiogórski zapuścił się przed czterdziestu laty aż za Lipsk. Był to człowiek już więcej niż średniego wieku, który za dawniejszej organizacyi przez lat kilkanaście służył w wojsku; wskutek tego poduczył się nieco języka niemieckiego i obznajomił się z obczyzną. Od Niemców wędrownych dowiedział się o bezleśnej okolicy gdzieś za Lipskiem, którzy go zarazem zapewniali, że takie stołki miałyby tam dobry pokup. Góral ten, naładowawszy parokonny wóz, udał się tam i rzeczywiście swój towar dobrze spieniężył. Następnego roku pojechał już z trzema wozami i od tej pory przedsiębrał te podróże po dwa i trzy razy do roku, robiąc zawsze dobre interesy.

Czyż tu nie przebija się śmiałość, a zarazem niedołężność, nieporadność? Czyż już przy ówczesnym (30 — 40 lat temu) rozgałęzieniu kolei żelaznych nie byłoby wygodniej przewozić te stołki koleją, niż wlec się noga za nogą wozami w tak odległe strony? Jakież to on koszta ponosić musiał na utrzymanie koni i ludzi? Wprawdzie na tem przedsiębiorstwie nic

nie tracił, owszem dobrze zarabiał, ale mógłby być zarabiać więcej, gdyby n. p. jako śmielszy i znający nieco język niemiecki pozostał był zagranicą, a wszedł był w związek z drugim wspólnikiem, bawiącym tu na miejscu, któryby mu wyroby koleją przesyłał. Trochę znajomości świata i trochę obrotu i zręczności, a stołki nasze góralskie mogłyby być mieć zbyt nietylko w Niemczech, ale i we Francyi, a szczególnie w bezleśnej Anglii. Cóż, kiedy góral nasz za ciemny, a nasi opiekunowie ludu więcej podobno z gęby niż z czynów dają się poznać.

Przed dwudziestu i ośmiu laty widziałem także same stołki w mieszkaniach robotników w Anglii. Gdzie je wyrabiano, niewiedomo mi; nie pytałem się o to, bo mnie ta sprawa niewiele wówczas interesowała; wszelako to pamiętam, że cena jednego stołka wynosiła trzy szylingi, t. j. 3 korony. A że u nas handlarze sprzedają je po 60 ct., przeto sprzedając je w Anglii po 3 szylingi, robionoby jeszcze świetne interesy, tem bardziej, że w Anglii cło na wyroby drzewne jest bardzo niskie, a przez Niemcy przechodziłyby jako „transito“.

Dziś na podobne przedsiębiorstwo byłoby podobno już zapóźno, bo Ameryka wyrabia także meble masami fabrycznie i wysyła je na targi do Anglii, Francyi, Belgii, Holandyi, a po części do północnych Niemiec. Sądzę jednakże, że w Niemczech mogłyby nasze wyroby góralskie i teraz jeszcze znaleźć odpowiedni pokup.

Kiedyśmy z pod Babiejgóry aż do Anglii zajechali, to zwróćmy się jeszcze do naszego kraju i zagłębmy na chwilę w niziny n. p. w powiat mielecki. Piętnaście kilometrów od Czarnej, stacyi kolei żelaznej niegdyś Karola Ludwika, leży zamożne miasteczko Radomyśl. Powiadam „zamożne“, bo tu najbiedniejszy mieszczanin obraca rocznie kilku tysiącami koron, a są i tacy, co obracają krociami. Tutejsi mieszczanie trudnią się handlem nierogacizny. Rozbiegają się oni na wszystkie strony Galicyi, Bukowiny i nawet za „k o r d o n“. Na jarmarkach i targach skupują nierogaciznę i spędzają ją do najbliższej stacyi kolejowej, skąd wysyłają ją do Oświęcimia, Białej i Wiednia. Ci, którzy obracają większym kapitałem, siedzą stale w Wiedniu, a w kraju mają swoich agentów, którzy towar skupują i do Wiednia wysyłają. Posiadacze zaś mniejszych kapitałów wiążą się w spółki i wysyłają jednego lub dwóch do Wiednia,

Białej lub Oświęcimia, którzy tam przysyłany sobie towar sprzedają i pieniądze na zakupno świeżego towaru odsyłają do kraju. Nieustannemi korespondencyami telegraficznemi zawiadamiają siebie nawzajem o cenach na głównych targach, jaki gatunek nierogaczyny ma szczególniejszy pokup i t. p.

O tak rozgałęzionym handlu, z taką czujnością, skrupulatnością i przebiegłością prowadzonym, ani marzyć u naszych przemysłowych górali. A przecież czemu mogą się różnić mieszczanie Radomyśla od mieszczan podbabiogórskich? Oto — chyba tem, że tamci lepiej żyją i lepiej się ubierają od tychże. Dodam w końcu, że znalazłem w Radomyślu starych kupców, obracających znacznym kapitałem, którzy nie umieli ani czytać ani pisać.

Gdy młody Radomyślanin ukończy szkołę ludową, pozostaje w domu i pomaga ojcu w kupnie, sprzedaży, w prowadzeniu rachunków i t. p., a doszedłszy do 18—20 lat, zaczyna prowadzić handel na własną rękę. Porzucenie zajęcia ojcowskiego, a kończenie wyższych szkół, należy tu do bardzo rzadkich wyjątków. Inaczej dzieje się na góralstwie. Góral bowiem, mając zaledwie dziesiątą część majątku najbiedniejszego Radomyślanina, kieruje swego syna na urzędnika lub księdza, a że braknie mu najczęściej funduszu na kształcenie drugiego lub trzeciego syna, wyradza się wskutek tego rażąca anomalia w społeczeństwie. Nieraz syn rodziców, a brat brata się wstydzi, bo kiedy jeden, doszedłszy do znacznej posady, rozpiera się w mieście i żyje wygodnie, drugi w kierpcach i kożuszku na pniaku lub ławce spożywa żur lub kwaśnicę, cierpiąc częstokroć chłód i głód. Dodam wszelako, że między Podhalanami, tj. góralami nowotarskimi, często można spotkać młodzieńca, który, ukończywszy kilka klas gimnazjalnych, wraca na gospodarstwo ojcowskie, nie wstydząc się wcale stroju ludowego. W okolicach podbabiogórskich w czasie wieloletnich moich podróży nie zdarzyło mi się widzieć ani słyszeć nic podobnego.

Pośrednicy, czy też handlarze góralscy, o których poprzednio mówiłem, są wogóle ludźmi rzetelnymi; płacą przynajmniej gotówką za wyroby, nabyte od swoich współbraci, a nierzadko dają im małe zaliczki na materyał, — więc przy zysku jest i pewne ryzyko. Ale są tu jeszcze inni pośrednicy, oszuści, którzy kupują towar bez pieniędzy i na nim dobrze zarabiają. Ci pośrednicy bywają co tydzień, a często i dwa razy w tygodniu

w Krakowie, dowiadują się najdokładniej o cenach wszystkich produktów, jakie z gór do miasta przybywają, a w górach znają każdy zakątek. Oni to wyczekują górali jadących do Krakowa, w tych miejscowościach, gdzie zazwyczaj popasają, jak w Myślenicach, Mogilanach i indziej. W jaki sposób wyzyskują oni łatwowiernych górali, wskażą następujące przykłady.

O ile pamiętam, w r. 1883 był w okolicach Krakowa nieurodzaj na owoce, w górach zaś było ich poddostatkiem. Gdzież je więc było spieniężyć, jeżeli nie w Krakowie? Przemysłniejsi przeto zakupują je od drugich i wraz z swoimi owocami wiozą do Krakowa. W jednej z karczem popasowych, kupiec bez pieniędzy przysiąda się do nich za stół, a dowiedziawszy się, skąd i z czym jadą, przypomina im nibyto dawną znajomość, częstuje wódką raz i drugi, a w końcu, zaprzyjaźniwszy się na dobre, poczyna ich żałować, że się wybrali do Krakowa z owocami tak nie w porę, bo tam nawieziono ich tak wiele, że cena spadła bardzo nisko.

„Kiejby do Białej, to haj! — ale cóż? kajsta za daleko! Trza wam było na Suche i Zywiec jechać. Hawok byś-ta zarobili“.

Górale, ujęci wódką i słodkimi słówkami, wierzą wszystkiemu, co on im nagada, a nawet pomiędzy sobą zaczynają radzić, że to jakiś dobry człowiek, bo i wódki daje i dobrze radzi. Ale cóż tu robić? — wracać się do domu i wstyd i zdaleko ujechali; — jechać do Krakowa po to, żeby stracić? — jeszcze gorzej.

Tymczasem kupiec - oszust, widząc ich zakłopotanie, częstuje jeszcze raz wódką i oświadcza, że on także owocami handlował i na tym handlu wiele stracił, jednak, aby ich wybawić z przykrego położenia, gotów jest jeszcze raz narazić się na widoczną stratę i tu na miejscu kupić od nich wszystko, co wiozą, byle mu z ceny coś opuścili. Wie on jeszcze jedno miejsce, gdzie jeżeli Bóg da, to spienięży choć bez zysku, ale przynajmniej bez straty. Ale o to mniejsza, byle tylko wydobyć z kłopotu swoich przyjaciół. Zaczyna się targ, do którego miesza się zwykle żyd - arendarz, dobrze z kupcem znajomy, i zachęca górali do sprzedaży, zapewniając, że to dobry człowiek, stary i wytrawny kupiec, że jeżeli on nie zarobi, to pewnie oni nie stracą. Wtedy pojawia się jeszcze raz wódka, górale się wahają, ale w końcu jeden, najwięcej wódką odurzony, dobija targu, a za jego przykładem idzie drugi i trzeci i w ten sposób trzy

wozy śliwek lub jabłek kupione. Teraz wypijają litkup, górale rozczulają się coraz bardziej, że się znalazł dla nich taki do-brodziej.

Ale nie dość na tem! Ponieważ z trzech wozów śliwek lub jabłek kupiec na plecach nie poniesie, więc przy kupnie następuje ugoda, że je dowiozą do Krakowa, gdzie pieniądze otrzymają. Przybywszy do miasta, kupiec prowadzi wozy na Mały Rynek, gdzie przekupnie otaczają je, a kupiec sprzedaje owoce, jak swoje własne, po cenie, jaka mu już naprzód była znana, i zarabia na każdej beczułce po kilkadziesiąt centów. Tymczasem górale, widząc się w ten sposób okpieni, pilnują kupca, żeby im nie uciekł ze wszystkimi pieniędzmi, a, otrzy-mawszy umówioną w karczmie cenę, dziękują Bogu, że ich ze wszystkim nie okradł, i przyrzekają sobie, że na drugi raz nie dadzą się już tak oszukać. Prawda, że na śliwkach i jabłkach może się rzeczywiście nie dadzą oszukać takiemu kupcowi, ale za to na czem innem, to najniezawodniej nie raz jeszcze w pole będą wyprowadzeni. A ów kupiec bez pieniędzy, zarobiwszy na tej spekulacji kilkanaście reńskich, podjadłszy i podpiwszy sobie dobrze, bo ci ludzie lubią dobrze żyć, udaje się znów na gości-niec od karczmy do karczmy i poluje na kupno jakiego towaru od biednego górala.

Raz jechałem do Makowa—kolei jeszcze nie było wtedy— z góralem, który wracał do swej wsi Grechini pod Makowem. W drodze zapytałem górala, z czem był w Krakowie. Odpo-wiedział, że miał 200 cienkich desek na sprzedaż.

— No, jak widzę, deski sprzedaliście i zapewne na nich dobrze zarobili?

— Kaj tam! — była odpowiedź. — Byłbych zarobił, kiejbym nie ta psiawiara kupiec nie ocyganił.

— Jaki kupiec? — spytałem. — Dlaczegoż daliście się ocyganić?

— Ot, ja tam nikiem nie kupcyłem, ino wozilek deski żydowi do Krakowa. Zebrało się ta trocha papirków; myśle, mają leżeć? — Pojechałem na tartak i kupilem se desek. Zimą pozwo-zilek je do wsi. Teraz, chwala Panu Jezusowi, zaorąłem, obsiá-łem wszycko, jak sie patrzy, to i myśle, powioze deski do Kra-kowa, to se i zarobie; cobych nie miał zarobić? I byłbych se zarobił, jak se patrzy, kiejbym nie ta psiawiara. Panie, odpuść grzychy, boć to i on katolik, ale co cygán, to cygán!

Tu opowiedział góral, że na popasie w karczmie za Mogilanami przyczepił się do niego kupiec z Harbutowic, a dowiedziawszy się, że wiezie deski na sprzedaż, wmówił w niego, że w Krakowie jest teraz więcej desek, jak we wszystkich tartakach w górach, bo to dowieźli i z Zawoi i z Raby i z Rabki i z Poręby i ze wszystkich stron. Więc wieźć teraz deski do Krakowa, to je trzeba sprzedać za psie pieniądze, bo niema na nich kupców. Ale on z życzliwości, po dawnej znajomości, wyrwie go z kłopotu i kupi deski tu na miejscu, tylko żeby mu je odwiózł do Skawiny; broń Boże do Krakowa! Tam nieochybną stratą!

W Skawinie, to co innego, gadał mi, co on tam cośik buduje — ciągnął dalej mój góral. — Já ta i nie wiedział. Kaj ta Skawina, já tám nikaj nie bywał; ale ják on zacon dogadywał, to i pomysłałek se: a juści i nie musi to być na końcu świata, to sie i tám dojedzie. Posło w targ, zyd mu pomagał, to i kupił po 18 nowych hurtem! Wypiliśma litkup, taj i wio do Skawiny. W Skawinie, to já ogłupiał; toć on moje deski przedawał po 25, po 22 nowych, a po tem wybrakowane to już 20, ale juści po 20, a mnie ino dał po 18. Indziinery i drugie panowie od kolei kupowali, coby nie mieli kupować? Deski były, ják sie patrzy. Ta psiawiara zarobił więcy jak 10 papirków za nie, a ja ino 6. A choćby já fury dla zyda najał, dostałbych 4, a tu dopiro wozic z tartaka do wsi. Teraz on staje w kuzdy karczmie i pije se za moje grójcary. Ot, jedzie tá za nami; zabrał sie z góralem z Biertowic; pewno go ocygáni, coby nie miał ocygánić! Kiejby já wiedział, kajta Skawina, to haj! Byłbych se zarobiuł, ják sie patrzy, cobych nie miał zarobić? Ale cekáj, cyganie, już ty mie nie ocygánis więcy.

— Já to już nieraz słyszę o takiej niegodziwości; dlaczegoż się nie wystrzegacie takich oszustów?

— li! bo ták: já bo to niby go ználek trocha; ojcowie jego majom kawál poła w Harbutowicach, ale juz syn, co cygán, to cygán. Ale już on mie nie ocygáni!

— Nie ocygani cię ten, to cię ocygani drugi, mój przyjacielu, — pomyslałem sobie w duchu. Taka to już natura góralaska. Z obcymi przezorny, chciwy, chytry nawet; dla swoich zaś z całem wylaniem i zaufaniem; i właśnie swoi go okpiwają.

Raz na popasie byłem świadkiem podobnego handlu. Czterech górali wiozło korę z drzewa, jakiej szewcy używają

do podeszew obuwia. Zajechali oni także na popas. Kupiec czekał już tam na nich. Zaczęły się targi wśród ustawicznego częstowania wódką; karczmarz — rozumie się samo przez się — pomagał kupcowi. Słyszałem już był nieraz o podobnych kupcach, więc zrozumiałem od razu, o co rzecz idzie, jednakże nie chciałem się wtrącać do tego.... Na stronie atoli zwróciłem uwagę karczmarzowi, że to nierzetelny handel, na co żydek odparł:

— A cóż to szkodzi? — przecie każdy potrzebuje żyć na świecie. Wszak on im zapłaci, na co się zgodzi, tylko, że i sam zarobi, to rzetelny handel. Co prawda, żeby to nasze żydki tak robiły, toby był gwałt; ale to górale; oni się tam pogodzą; wypiją sobie i po wszystkim. Ja z tego nic nie mam, ot wypiją kwaterkę wódki, a może i drugą i po wszystkim.

W tej porze roku, kiedy górale są czynni u siebie w domu, kiedy więc na targi do Krakowa nie jada, owi kupcy odgrywają zwykle niepoślednią rolę po wsiach, w których mieszkają. Są oni pokątnymi doradcami. Waśnią i godzą strony, mając do siebie zaufanie, jako ludzie światowi. Nierzadko też piszą skargi do sądu, gdyż są między nimi i piśmienni. Tu znów — jednej stronie napisze skargę za kilkanaście centów, drugą pouczy za częstunek, jak się ma w sądzie tłumaczyć. Wogóle są oni zawsze ruchliwi, zawsze czynni!

Jest tu jeszcze inny rodzaj wyzyskiwaczy, którzy napozór niby to bardzo rzetelnie sobie postępują; wszelako niemniej odzierają swoje ofiary, a to już tem gorsza, że najbiedniejszą klasę ludzi.

Jak wiadomo, okolica podbabiogórska dostarcza corocznie mnóstwo górali z kosami za kordon. Tu pośredniczą tak zwani „majstrowie”. Że taki majster potrzebuje kapitału, więc z początku dwóch lub trzech, mających pieniądze, składa się na jednego, a dorobiwszy się, — każdy zaczyna na swoją rękę.

Wkrótce po świętach Bożego Narodzenia taki „majster” udaje się za kordon, do Królestwa Polskiego, i tam po dworach zawiera ugodę o dostawę ludzi roboczych na przyszłe lato. Niektóre dwory potrzebują ich po kilku, inne po kilkunastu, a są i takie dwory, które ich potrzebują nawet po kilkudziesięciu.

Obszedłszy pewną ilość dworów i zawarłszy odpowiednią ilość kontraktów, majster wraca do domu. Tu zaczyna się kap-

towanie ludzi. Chcąc się zapewnić, majster udziela chętnie zaliczki, rozumie się, że nie bez znacznego procentu, którą górale cierpiący w zimie niedostatek chętnie przyjmują, a temsamem do roboty w lecie się zobowiązują. W właściwym czasie wyrabia im „majster“ paszporty, które zatrzymuje przy sobie, a, dając znów zaliczki na drogę, prowadzi na miejsce przeznaczenia. Tu rozlokowawszy ich po dworach, sam odgrywa rolę niejako dozorczy i rozjemcy w sporach, wynikłych tak między nimi samymi, jakoteż między nimi a dworem. Tym sposobem chodzi on przez cały czas roboczy od dworu do dworu, gdzie są jego ludzie rozmieszczeni. Wszędzie go nakarmią i napoją; utrzymanie zatem przez całe lato nic go nie kosztuje, a za pośrednictwo w dostawie ludzi otrzymuje najmniej po rublu za każdego robotnika od dworu i tyleż od górala. Wszelako wynagrodzenie to dochodzi nierzadko do 1 $\frac{1}{2}$, a nawet do 2 rubli od każdej strony.

Przy ostatecznej wypłacie, która się odbywa po skończeniu pory roboczej, majster jest zawsze obecny i odciaga sobie wszelkie zaliczki, oraz inne wydatki tak, że góral mimo dobrej płacy, jaką tam otrzymuje, po przebyciu dalekiej drogi, przynosi z sobą do domu kilkanaście, a czasem tylko kilka rubli, a gdy te przeje i przepije, znów żąda od majstra zaliczki na następne lato. Kto więc raz wpadnie w matnię „pana majstra“, nie prędko i nie łatwo z niej wydobyć się może. Tymczasem „pan majster“ wraca do domu z kieszenią „dobrze nabitą“. — Gdyby nie te zdzierstwa majstrów, górale ci nie doznawaliby żadnej biedy, boć otrzymują tam, t. j. za kordonem, wysoką płacę i dobre utrzymanie.

Takich górali — kosarzy, wprawdzie nie z pod Babiejgóry, ale z wschodnio-południowej Galicyi, przeważnie Hucułów z Pokucia, widziałem przed wielu laty w osadach niemieckich koło Białogrodu na Budziaku, t. j. w południowej Bessarabii. Płacono im dziennie po półtora rubla i dawano całe utrzymanie. Przybywali oni tam bez pośrednictwa „majstrów“, jedynie wybierali sobie z pomiędzy siebie „starostę“, który ich prowadził i w drodze porządku przestrzegał. Po przybyciu na miejsce urząd „starosty“ kończył się, starosta najmował się do roboty jak każdy inny. To też nie mieli oni z kim się dzielić swoim zarobkiem.

Górale z pod Babiejgóry, uchodzący podług wielu piszących za bardzo przemysłowych, dają się oskubywać na wszystkie możliwe strony i sposoby. A jeżeli ci piszący mieli na myśli owych wyzyskiwaczy jako zdolnych przemysłowców, to niech mi wolno będzie powiedzieć, że jest ich kilkudziesięciu na kilkudziesiąt tysięcy ludności góralskiej. To, zdaje mi się, przemawia samo za siebie.

Innego rodzaju przemysł, jak wypalanie węgla drzewnego, pędzenie smoły, tkanie płótna i sukna, odbywa się po największej części bez pośredników. Tu już producenci sami sprzedają wyroby swoje na jarmarkach i targach, z wyjątkiem chyba smoły, którą biedacy kupują beczkami i wożąc ją na wózku przez siebie ciągnionym od wsi do wsi sprzedają częściowo. Są też górale szklarze czyli „błoniarze“, którzy wędrują po wsiach i miasteczkach, wprawiając szyby; inni znowu skupują jajka i odsprzedają zamożniejszym, a ci wysyłają je wozami dalej w świat.

Górale - mieszczanie zajmują się przeważnie szewstwem, rymarstwem, stolarstwem, ciesielstwem i t. p.

Znaczna część górali trudni się przewozem desek, belek, wogóle materiału budowlanego. Ci górale są już zwinniejsi i silniejsi, bo też cały swój zarobek przejadają i przepijają; ale za to ich rodziny cierpią w domu po największej części wielki niedostatek. Góral taki z szybkością wiewiórki wskakuje na wóz, jeżeli ma jechać z góry, a zeskakuje z niego, jeżeli jedzie pod górę. Naładowawszy swój wóz materiałem budulcowym w jednym z tartaków, wlecze się często dwie doby, a przynajmniej półtorej, do Krakowa, Wadowic, Oświęcimia lub Żywca. Droga jest przeważnie górzysta, więc pod górę musi ciągnąć wraz z koniem, a w wielu miejscach, gdzie góra stromsza, przykrzejsza, pożyczają sobie koni nawzajem, aby wozy na górę wyciągnąć. Praca ta żmudna; dlatego też ci górale muszą i siebie i swoje koniska lepiej karmić. Tu już ani ziemniaki, ani kwaśnica, ani placki owsiane nie wystarczają. Żywią się oni mięsem, chlebem żytnim i serem. W karczmach, uprzywilejowanych na popas, widzieć można zawsze kilkanaście garnuszków, mniej więcej litrowych. Są to „porcy“ przygotowane dla górali-furmanów, zawierające niby ćwierć kilograma mięsa, po większej części baraniego lub cielęcego, ugotowanego w posolonej wodzie. Porcy taka kosztuje 10—12 centów. Góral, nakrajawszy w rosół

chleba, którego dostarcza mu karczmarz, zjada takich porcyi najmniej trzy dziennie; prócz tego posila się chlebem, serem, piwem, wódką. Wracając do domu, wiezie ze sobą już chleb, kupiony w mieście, tak dla siebie na drogę, jak i dla swej rodziny—choć na jedno śniadanie. Oszczędniejsi przywiozą nawet z sobą kawę i cukier. Toteż cała rodzina góralska z niecierpliwością wygląda powrotu ojca. Po jego przyjeździe choć jedno śniadanie, albo jeden obiad jest dobry, a potem przez trzy lub cztery dni bieda, bo całe gospodarstwo zostawione jest na opiece żony i dzieci. Jeszcze gdzie dzieci są dorosłe, tam pół biedy; ale gdzie jest drobiazg, tam już nędza panuje.

Rozmawiając raz przed laty z pewnym zamożniejszym gospodarzem z Osieka o tych ludziach, namieniłem, że po ukończeniu budowy kolei transwersalnej wielka ich liczba pozbawiona będzie zarobku. Na to gospodarz odparł, że to właśnie będzie dla nich prawdziwym dobrodziejstwem, bo ci ludzie, jeżdżąc ciągle, zaniedbują swoje gospodarstwa i narażają swe rodziny na biedę, a to, co zarobią z furmaństwa, wystarcza tylko dla nich samych i ich koni. Jak nie będą mieli co wozić, zmuszeni będą „lepiej około roli chodzić“, przez co i dobrobyt swoich rodzin poprawić będą mogli. Wkońcu dodał: „Wierz mi, pan, że to jest tylko proste przyzwyczajenie włóczyć się po drogach“. — Słyszac to od człowieka miejscowego, dobrze ze stosunkami obznajomionego, zmuszony byłem temu uwierzyć.

IV.

Nienawiść górali do lachów. — Przecenianie usług, zdzierstwo. — Ciekawość, gadatliwość, pobożność. — Moralność. — Stosunek dzieci do rodziców. — Niewiara w naukę i pomoc lekarską. — Skłonność do oszustwa. — Brak poezyi. — Chęć łatwego wzbogacenia się. — Zabawy, tańce, muzyka, wesela, chrzciny. — Stypy pogrzebowe. — Kupowanie trumny. — Zakończenie.

Mieszkańców nizin zowią górale „lachami“ i nie lubią ich, o czem nikt z piszących o góralach nie wspomina, bo przecież trudno wymagać, by mu to góral w oczy powiedział. Zresztą miano to tyczy się więcej ludu, niż „panów“, bo „panowie“ są jednacy, czy to w górach, czy też w nizinach, a nawiasem mówiąc, jednych i drugich nienawidzą górale. Objawy tej nienawiści nieraz spostrzegłem podczas swych wy-

cieczek w okolice podbabiogórskie i indziej. Dowodem tej niewiści górali ku „l a c h o m“ są ustawiczne bójki, staczane przedewszystkiem w powiecie limanowskim, gdzie obok górali są i „l a c h y“; stąd pochodzi znaczna liczba skarg, wnoszonych o pobicie do sądów. Prawda, że tu jeszcze niewiadomo, która strona winniejsza, ale też nie to tylko jedynie biorą za podstawę swoich spostrzeżeń. Obiło mi się nieraz o uszy, jak górale rozprawiając o jakim przestępstwie, utrzymywali, że to chyba „l a c h“ musiał zrobić. Raz gospodarz pewien nie chciał swojej córki wydać za mąż za parobka, dlatego, że ojciec jego „gdzieś z lachów przybył“ i u nich się osiedlił. Więcej nie miał mu nic do zarzucenia. Dopiero na moje wstawienie się i wytłomaczenie dobitne, że tak lachy, jak górale są jednej matki dzieci, zmiękł trochę, ale zawsze głową kręcił z jakimś niedowierzaniem.

Górale są z natury chciwi i z upodobaniem przeceniają usługi swoje, a to bez najmniejszego rachunku. Nigdy nie poda góral odrazu ceny, jakiej żąda za swoje usługi; ale zawsze się pyta:

— A, cózby pán dali?

Pochodzi to z obawy, aby nie powiedzieć zamało, co dowodzi, że nie potrafi sam ocenić swoich usług. Ile razy najmowałem furmankę u górala, zawsze się powtarzało pytanie: „A cózby pán dali?“ — A jeżeli mu się wytłomaczy, że on sam powinien wiedzieć, co jego usługi i praca są warte, nie waha się wtedy zażądać w trójnasób rzeczywistej wartości. Wreszcie każdy krok górala musi być wynagrodzony. Gdybyśmy zażądali od górala najmniejszej bagatelki, ot np.: „Pomóście mi ten kuferek położyć na wóz“, — zaraz usłyszymy:

— Dobrze, ale cóz będzie? — Cóż pán dadzą?

Wynagrodzony za swoje usługi kwotą, jakiej sam za nie zażądał, zawsze przy wypłacie powie:

— Pán by ta co dołożyli!

A dostawszy odmowną odpowiedź, dodaje zwykle:

— Ta choćby na skłánke piwa!

Jadąc z góralem, zawsze przy wypłacie należytości słysze jedno i to samo, a przecież nie z jednym i tym samym góralem jeżdżę. Dawniej miałem zwyczaj w drodze na popasach poczęstować górala, z którym jechałem, wódką lub piwem; wkrótce jednak przekonałem się, że jeżeli to uczynił na pierwszym

popasie, na drugim góral sam się o to upomniał; dostawszy tu i na każdym popasie, ilekolwiek by ich było, i przybywszy na miejsce, przy wypłacie zawsze powie:

— Pán by ta co dołożyli, choćby na sklánke piwa!

Ciekawość jest u górali do najwyższego stopnia posunięta, ale jest to ciekawość bezcelowa. Skąd, dokąd, po co np. jedzie jaki podróżny, pyta się go o to każdy góral i zdaje się, że nie mógłby w nocy zasnąć, gdyby się nie dowiedział. Są przytem natrętni, gadatliwi i poufali.

Górale podbabiogórscy są bardzo nabożni. W dni niedzielne i świąteczne spieszą na mszę do swych kościołów parafialnych, częstokroć bardzo odległych, jedni strojno, drudzy wprawdzie ubogo, ale chędogo. O postach niema co mówić, bo większa ich część zawsze pości. Mimo tej pobożności, która każdego przybywającego w góry podnosi i buduje, — z przykrością rzec muszę — moralność stoi u nich na niskim stopniu. Dzieci nie mają najmniejszego poszanowania dla rodziców. Słyszałem nieraz i nie w jednej chacie, jak dzieci-niedorostki odpowiadali rodzicom:

— Wy byšta tylko zarli i kazowali ¹⁾, a nic nie robili.

Widziałem niejednokrotnie dzieci, porywające się do bicia rodziców, słyszałem nieraz rodziców, utyskujących na dzieci.

Raz u pewnego bogatego gazdy, w którego chacie często przemieszkowałem, słysząc, jak córka lżyła ostatniemi słowy matkę, spytałem się, aby ją zawstydzić, czy zna czwarte przykazanie boskie? Siedmnastoletnia dziewczucha, zarumieniwszy się i popatrzwszy się na mnie zukosa, odrzekła:

— Cwárte przykazanie? a juźćic já sie tego ucyłam w skole, ale juź pieńć lat, jagem wysła ze skoły, tom troche zapomniála, ale w ksiázce od nabożeństwa, to musi być, já zaroz posukám.

Zadziwiło mnie to zaniedbanie; przecież to była córka bogatego gazdy, umiejąca czytać i trochę pisać, a w rzeczywistości nie mogła powtórzyć dziesięciuro przykazań boskich; dopiero jej czternastoletni brat, wyrostek, powtarzający już po raz trzeci drugą klasę szkoły ludowej, wymienił jej te przykazania, które im przy jej sposobności objaśniłem. Wtedy dziewczucha się trochę zawstydziła i już tego dnia nie zakłóciła spokoju w chacie. Następnego atoli dnia powtórzyło się tosamo.

¹⁾ rozkazywali.

Jeżeli góral za nic w świecie nietylko swoich gór, ale nawet rodzinnej wsi opuścić nie chce, to za to góralskie dziewczki czyli góralki młode idą chętnie do służby do miast i miasteczek, niekoniecznie górskich, przedewszystkiem do tych miast, gdzie stoi wojsko. Jaki zaś wpływ sługa Marsa na nie wywiera w jakim stanie zepsucia i upadku powracają po krótkim nawet pobycie w większem mieście do wsi rodzinnej, pod strzechę rodzicielską, zbyt wiadomo każdemu, a na kogo spada odpowiedzialność za to zaniedbanie moralne tego ludu, nie mają jest rzeczą sądzić.

Przesadne ocenianie swoich usług, wogóle chciwość u górali wyrodziły się z chęci łatwego wzbogacenia się, o czem każdy góral marzy. Stąd też w uściach ludu góralskiego krąży mnóstwo podań o zakopanych skarbach i bogactwach. Jak indziej, tak i u nich przesady i niewiara w naukę panują tu powszechnie. Góral nie wierzy np. w szczepienie ospy, nie wierzy w pomoc lekarską. Do szczepienia ospy zmuszają go środkami administracyjno-policyjnymi, a pomocy lekarza wzywają tylko bogatsi, ale dopiero po wyczerpaniu wszelkich środków domowych, zażęgnywań babskich i owczarskich, gdy zatem chory już kona. Pacjent umiera, a niewiara rozszerza się tem bardziej.

— Przecież był dochtór i aptyka kosztowała dużo, a to wszystko nic nie pomogło. Umarł, bo tak Bóg chciał!

Przynajmniej to ostatnie coś warte, że „tak Bóg chciał!”

Wskutek powszechnej manii wzbogacania się góral jest nawet skłonny do oszustwa. Wie on wybornie, jak mieszać twaróg krwi do bryndzy owczej, lub do serków owczych, jak dodawać otrąb do mąki kukurudzianej, jak doić kozy prosto do szklanki, trzymając ją tak daleko od wymienia, aby pół szklanki przynajmniej było piany. Niejedna też osoba, udająca się na kurację żętyczną w okolice tutejsze, ani się domyśla, że powrót do zdrowia zawdzięcza krowiej serwatce. Trzeba bowiem wiedzieć, że w dziale gór babiogórskich owiec wogóle trzymają mało, a są przecież tutaj miejscowości uprzywilejowane, do których rokrocznie znaczna liczba letników zjeżdża na kurację żętyczną. Zaiste żętyca ta bardzo popłaca; chciwy bowiem góral miesza $\frac{3}{4}$ serwatki krowiej z $\frac{1}{4}$ żętycy i tę mieszaninę sprzedaje za czystą żętycę.

W jednym z miasteczek podbabiogórskich widziałem raz w dzień targowy górala z owczymi serkami. Przyszła mi chęć

skosztowania tego specyału, bo, prawdę powiedziawszy, lubię bardzo ser owczy, ale prawdziwy. Serki, które ów góral miał, ważyły niespełna po $\frac{1}{4}$ kg. Spytałem się o ich cenę.

— Osiem sóstek — odpowiedział góral — to cysto owce syrki, a teraz w maju to jesce ich mało mamy. Tak wszyscy płacom.

Ośmdziesiąt centów za ćwierć kilograma sera owczego? — wydało mi się bajecznie drogo. Nie kupiłem, ale wróciwszy do domu, opowiedziałem to mojemu gospodarzowi, który uprzedziwszy mnie kupił dla mnie ten sam serek za 20 centów. Nie chciałem temu wierzyć, ale gospodarz upewnił mnie, że tylko ten jeden góral był na targu ze serkami. Przykładów tej chciwości góralskiej, tudzież chęci oszukania i zdarcia, mógłbym z doświadczenia turystycznego przytoczyć bardzo a bardzo wiele, ale może to, com powiedział, wystarczy do scharakteryzowania tego ludu. Wspomnę natomiast o bajeczce, która krąży między samymi góralami.

Raz naszedł góral zająca, śpiącego pod miedzą. — Ha, — rzecze — schytám go i zdjme skórę; cobych nie miał zdjąć? Zajonca se pojém, skórę przedám; cobych nie miał przedać? Kupiem se sikirke, pudem do lasu i zetnem chojinke; cobych nie miał ściąć? Chojinke przedám; cobych nie miał przedać?

I tak dalej mówiąc, zaszedł ten góral aż do wybudowania chaty, kupienia roli, a wszystko to miało się zacząć od śpiącego zająca. Tymczasem zając się przebudził i czmychnął, a góral stanął rozczarowany z rozdziawioną gębą.

Bajeczka ta charakteryzuje dosadnie góralską żądze łatwego wzbogacenia się, a temsamem i nieporadność, bo zamiast wpierw chwycić zająca i ułożyć plan, co z nim zrobić, nasz góral przeciwnie „wykował rożenek na wróbla na dachu“.

Górale podbabiogórscy nie są wcale poetyczni, bo i skądże może się wyrodzić poezya wśród ludu nawskróś zmateryalizowanego? Gdzie materyalizm górą, tam dla poezyi grunt jałowy. W nizinach Litwin czy Rusin. Krakowiak czy Mazur, ze sochą, czy też z kosą na łące, a dziewczki, czy to ze sierpem w ręce, czy przy żarnach, czy przy kądzieli — zawsze z pieśnią na ustach. Tu usłyszysz tęskną dumkę, tam wesołego krakowiaka lub porywającego mazura! A ileż to podań, ile prawdziwej w nich poezyi? Mają wprawdzie i górale swe podania, ale zawsze treścią

ich zakopane skarby. To przecież nie poezya! Góral idzie za pługiem, nie z pieśnią na ustach, ale z myślą wyorania skarbów.

Do zabaw górale tutejsi są bardzo skłonni i ochotni. Wesela ich odbywają się przeważnie w karczmach, a goście weselni sami płacą za trunki. U bogatych tylko, mających obszerniejsze mieszkania, wesela odbywają się w domu i trwają od dwóch do trzech dni. Taniec góralski jest monotonny, ogranicza się bowiem na tupaniu nogami w miejscu i na przysiadach także w miejscu. Jeżeli zaś młodzież, szczególnie ta, która w wojsku służyła, więc „znająca świat“, zaczyna „walcować“, to wtedy tańczą walca, bez względu na to, czy muzyka gra walca, czy też krakowiaka lub mazura. Przyznać też należy, że muzyki góralskie grają wszystko na jedno tempo.

U górali-mieszczan odbywają się wesela, jak w wielu miejscowościach u mieszczan w nizinach. Zaproszeni goście przysyłają podarki pod postacią prowiantów i napojów, choć często na wesele sami nie przyjdą. Ale tu, jeżeli zaproszony góral przyniesie kilogram mięsa, to pewnie przyjdzie z żoną i dziećmi na ucztę weselną, aby to подарowane mięso zjeść; darmo nic u niego niema.

Na chrzcinach gości podejmują po większej części w karczmach, a kumowie ponoszą częściowo koszt.

Stypy pogrzebowe spadają wyłącznie na rachunek tych, którzy oplakują nieboszczyka. W niektórych miejscowościach podbabiogórskich jest zwyczaj kupowania trumny dla osób jeszcze żyjących, lecz niebezpiecznie chorych. Gdy w jednym z miasteczek góralskich pod wieczór siedziałem przed domem na ławce wraz z moim gospodarzem, wskazał mi tenże górala, przechodzącego z zawiniątkiem czyli „zwitkiem“ białego płótna pod pachą, i rzekł:

— Ot widzi pán tego górala; był on już u wszystkich naszych stolarzy i nie może dobrać trumny gotowej. Jeden obiecał mu zrobić do jutra.

— A to biedny człowiek — odrzekłem — któż to mu umarł?

— li, — była odpowiedź — umrzeć, jescze mu nikt nie umar, tylko jego baba już od pół roku choruje i on wie, że jutro będzie umierać.

— A skądże on to wie? — spytałem.

— O! już to nasi górąle wiedzom. A że góról chytry, to powiada sobie: baba ci umrze, más teraz centy, to kup trumne i płótna. Bo jak sie centy rozleżą, to nie bedzies miał za co kupić.

Tenże sam gospodarz opowiadał mi wypadek, jaki tu zaszedł przed kilkunastu laty. Góról kupił trumnę swojej żonie, która według niego była umierająca. W tydzień później żona pochowała troskliwego męża w teże samej trumnie.

Ponieważ ze śmiercią człowieka wszystko się na tym świecie kończy, więc i ja na tem kończę swój opis góról podbiogórskich. Nie starałem się tu wyszukiwać ich wad. Wpadają one same w oczy każdemu, kto ma z nimi bliższe stosunki. Wreszcie nie same tylko wady wytknąłem, które — prawdę powiedziawszy — nie od nich są zależne, lecz wypływają z braku oświaty i ogólnego przygnębienia materyalnego. Tymczasem cnoty, jak pobożność, gościnność, chęć do pracy, zależne są wyłącznie od nich samych, przeto stanowczo przeciwważą wszystkim ich ułomnościami.

